Nr. 44. Kraków, Czwartek 31 Października 1895. Rocznik IV.

Adres Redakcyi i Administracyi: ul. Szewska L. 7, parter.

Wszelkie przesyłki adresować należy: Józef Kleinberger, ulica Szewska, L. 4.

Rękopisów nie zwraca się.

Listów niefrankowanych nie przyjmuje się

NAPRZÓD

Numer pojedynczy 7 centów.

Do nabycia w Krakowie w Agencyi dzienników Plac Maryacki L. 2,—we Lwowie w Biurze dzienników L. Plohna, ulica Karola Ludwika, i A. Olszewskiego, ul. Kilińskiego L. 2.

Listy reklamacyjne nieopieczętowane, nie podlegają opłacie pocztowej.

Czasopismo polityczne i społeczne. — Organ partyi socyalno-demokratycznej.

Prenumerata wynosi: W Krakowie: rocznie 3·—, półrocznie 1·50, kwartalnie —·75, miesięcznie —·25. W Austryi: rocznie 3·60. półrocznie 1·80, kwartalnie —·90, miesięcznie —·30. W Niemczech: rocznie 7 marek. We Francyi: rocznie 10 franków.

Wychodzi co tydzień w każdy czwartek.

Ogłoszenia (inseraty) przyjmuje Administracya za opłatą od miejsca wiersza drobnem pismem (petit) 10 ct. — **Nadesłane** po 25 ct. od wiersza. Należytość uprasza się naprzód nadesłać przekazem pocztowym pod adresem Administracyi czasopisma.

PRZEGLĄD.

Nudne mowy parlamentarne nad oświadczeniem nowego rządu trwały w Radzie państwa przez całe trzy posiedzenia. Nie bylibyśmy w możności oddać tej rozwlekłej powodzi toczonych, a zakrywających prawdę słówek poselskich, lub nic nie mówiących, a uroczystych przemówień hr. Badeniego. To jedno tylko jest pewnem, że ten parlament zasłużył na to, aby mu b. namiestnik galicyjski oświadczył, że rząd, a nie parlament będzie „prowadził“. Posłowie sami oklaskami to „prowadzenie“ przyjęli, więc im szczęśliwej życzymy drogi. Dla wszystkich stronnictw miał hr. Badeni coś przyjemnego, tylko socyalistów uwolnił od swoich komplimentów, a nawet lekko im pogroził... Otóż niechaj hr. Badeni wie, że komplimentów od niego nie chcemy, pogróżek się nie lękamy, słów jego na zbyt czułej wadze nie ważymy, ale czynów jego czekamy! Jedynym zaś czynem politycznym w Austryi obecnie potrzebnym, jest zrównanie obywateli, przez nadanie powszechnego prawa wyborczego. Mniej lub więcej udatne frazesy nic nas nie obchodzą, bośmy mieli czas do nich się przyzwyczaić za ministeryum Windischgraetza i haniebnej pamięci koalicyi.

Stuletnią rocznicę rozbioru Polski święciła burżuazya galicyjska nader ozięble. Żadne z pism burżuazyjnych nie zdobyło się na taki z zapałem napisany artykuł o Polsce, jak niemieckie pismo socyalistyczne... „Vorwärts“ berliński. Nasi krzykacze udawali się tylko do kościoła, gdzie rozstawiano żałobny katafalk, jakby to o zmarłego chodziło!

Jak zaś obłudnym jest patryotyzm klas wyższych, niech świadczy sprawozdanie „N. Reformy“ z uroczystego przedstawienia w teatrze krakowskim. „N. Reforma“ pisze:

Przed nawpół pustą widownią dano wczoraj w teatrze miejskim przedstawienie z samych sztuk narodowych, dla przypomnienia smutnej rocznicy trzeciego rozbioru Polski. Galerya, balkon drugiego piętra i w ogóle tańsze miejsca zapełnione były przyzwoicie, loże i fotele pierwszorzędne świeciły pustkami.

Stwierdzono dawno, że patryotyzm jako ruch dążący do pełnej niepodległości narodowej, może liczyć tylko na lud ubogi i że bogaci tylko z pawią dumą i obłudą udają patryotów.

Runęło ministerstwo francuskie, to samo, któremu jeszcze w sobotę dał wotum zaufania parlament za to, że bagnetem i gwałtem chciało załatwić strejk w Carmaux. Ale już w poniedziałek musiało ministerstwo ustąpić, z powodu skandalu o przekupstwa przy kolei południowej. Wielu posłów i senatorów brało od tej kolei łapówki w zamian za protekcye. Senatora Magniera zasądzono też za to na rok kryminału, ale rząd strzegł się ścigać dalszych oszustów parlamentarnych. Socyalista Rouanet podniósł tę sprawę i zażądał odsłonienia aktów parlamentowi, celem ich ogłoszenia i pomimo oporu rządu, pomimo, że prezydent ministrów Ribot i minister sprawiedliwości Trarieux przemawiali przeciw temu, parlament przyjął wniosek Rouaneta. Ministerstwo Ribota natychmiast też podało się do dymisyi. Tak więc ci obrońcy złodziei bankowych i fabrycznych wyzyskiwaczy musieli ustąpić przed siłą moralną, jaką już dzisiaj jest socyalizm we Francyi. Do steru ma przyjść ministerstwo radykalne.

Wyjazd za morze. Cały świat w Galicyi był niedawno zdumiony zachowaniem się posła Lewakowskiego, który stanął na czele chłopskiego ruchu jako prezes Towarzystwa demokratycznego i zamiast w ciężkiej walce wyborczej wspierać, doradzać, kierować, a wreszcie — co najważniejsze — bronić chłopów od niesprawiedliwości, wybrał się aż do Ameryki na zjazd Narodowego Związku Polskiego. Za późno trochę, bo już po wyborach usiłował niedawno „Kurjer lwowski“ oczyścić Lewakowskiego od zarzutu co najmniej niepojętej lekkomyślności wobec chłopów. „Kurjer“ pisze:

Wiadomo z poprzednich doniesień naszych, że dr. Karol Lewakowski otrzymawszy jeszcze na wiosnę b. r. mandat od Związku wychodźtwa polskiego w Europie, d. 20 sierpnia b. r. udał się do Stanów Zjednoczonych wraz z drugim delegatem tegoż Związku dr. Zyg. Balickim z Genewy. O tym wyjeździe swoim i konieczności jego, szan. poseł zawiadomił delegatów stronnictwa ludowego na zjeździe w Rzeszowie d. 28 lipca. Delegaci stronnictwa ludowego, przygotowującego się wówczas do wyborów sejmowych, uznali ważność motywów tej podróży. Chodziło bowiem o stałą organizacyę Skarbu narodowego, którego zawiązek znajduje się obecnie w Rapperswylu szwajcarskim, skarbu narodowego, jako instytucyi publicznej, mogącej w przyszłości ważny wpływ wywrzeć na losy naszej ojczyzny. Delegaci stronnictwa ludowego zgodzili się tem snadniej na chwilową nieobecność dra Lewakowskiego w Europie, ile że kierownictwo ruchu przedwyborczego w Galicyi zdał on w doświadczone ręce centralnego komitetu ludowego, na którego czele jednomyślnym głosem delegatów 37 powiatów powołani stanęli (jak wiadomo) Rewakowicz z gronem towarzyszów zdecydowanych do gorliwej pracy i poświęcenia, na jakie tylko siły ich obywatelskie starczyły. Daremnie tedy lokajska służba stańczyków wysila się teraz na zohydzenie Lewakowskiego, zarzucając mu, jakoby opuścił plac boju, uciekł przed wyborami itp. Lewakowski wyjeżdżając z Europy, pozostawił gotową organizacyę wyborczą, ktora była dziełem jego i wiernych sztandarowi ludowemu towarzyszy, a wyjechał za wiedzą i zgodą tejże organizacyi.

Z tej obrony nikt nie będzie mądrym. „Sejm“ (!) Związku narodowego nie potrzebował Lewakowskiego, ani otwarcie mówiąc Lewakowski nie potrzebował koniecznie jechać na zjazd towarzystwa asekuracyjnego, który się szumnie nazwał „sejmem“ i t. d.

P. Balicki, człowiek wymowny i bardziej pociągający swoją osobistością, byłby w Ameryce sam sobie dał radę i dopiął celu i tak nader skromnego, tj. żeby odsetki od „skarbu narodowego“ w Ameryce posyłano do Rapperswylu! Na to nie potrzebował jechać Lewakowski za ocean i opuszczać chłopów w jedynej może chwili, kiedy naprawdę potrzeba im było pomocy posła do Rady państwa.

Hr. Badeni z pewnością połowę swej „wielkości“ czerpie z takiej niedołężnej, niemęskiej opozycyi, jaką robi od dłuższego czasu dr. Lewakowski. Ale ludzie z charakterem politycznym i krytycznie patrzący na frazes w ustach szanownego „Rejtana“, wiedzą oddawna, co o nim mają sądzić.

Pan prezydent apelacyi Zborowski ustępuje ze swego stanowiska. Oddawna już nie było tajemnicą, że miejsce kierownika zachodnio-galicyjskiego ma być opróżnionem. Jeszcze za ministra wujaszka koalicyi, Madejskiego, mówiono o tem. Teraz zaś p. Zborowski ustępuje miejsca prawdopodobnie panu Madejskiemu, kiedy ten ludzką rzeczy koleją wypadł z fotelu ministeryalnego... Z dawnych ministrów: Schönborn, Bacquehem i Plener już podostawali posady i są zabezpieczeni na starość, tylko p. Madeyski jeszcze niczem nie został, ale miejmy nadzieję, że wkrótce zajmie miejsce po p. Zborowskim.

Carmaux.

W Carmaux (czytaj: Karmo) we Francyi przeszedł przy wyborach do rady departamentu dzięki solidarności tamtejszych robotni-

MARYNATA.

Szkic.

Napisał *Muncki*

Czy spiewacy rodzą się głupcami, czy ogłupia ich dopiero fach? Zdaje się bowiem, że poważna większość tychże posiada... ptasią inteligencyę.

Nie może to być przypadkowem. Jest n. p. rzeczą możliwą, że forsowna praca krtani absorbuje władze umysłowe „tenorów“ dajmy na to (tenorzy mają swoje przysłowie) do tego stopnia, że wszystko, na co tych ludzi stać, koncentruje się w ich strunach głosowych.

Możliwem jest również, że myślenie oddziaływa szkodząco na głos, co zmusza śpiewaków do bezmyślności w interesie ich sztuki. Naturalnem by było dalej, że zdobywając za pomocą gardła, stosunkowo łatwo a w wielkiej obfitości to, co człowiekowi do życia i szczęścia jest potrzebnem, a o co inni ludzie wytężoną pracą mózgu ubiegać się muszą, śpiewacy zaniedbują swoje myślowe narzędzia jako zbyteczne, skutkiem czego tychże zmarnienie.

Pewnem jest wszakże, że nauczyciele śpiewu i podręczniki dla śpiewakow wpajają w nich tak wielkie przekonanie o ich wyższości, tak wiele im każą o sobie trzymać, tak mierzyć z góry resztę ludzi, że już to samo może, bo ma oczywiście na celu (zapewne dla dobra śpiewu...) przewrócić tym panom w głowie, nie mówiąc już o cielęcych zachwytach tłumów, o oklaskach, bitych przez klakę i wieńcach ofiarowanych przez damy, mające obojętnych mężów, o łatwych i wielkich zarobkach, o udawaniu królów i bohaterów co drugi wieczór i zdobywaniu pochwał a nawet dekoracyj z rąk rzeczywistych, nie teatralnych monarchów jednym ładnym trylem lub dobrze wziętą wysoką nutą.

W istocie rzeczy — (nie należy tego jednak powtarzać śpiewakom, aby nie przyprawić którego o niedyspozycyę, na czem by ludzkość niezmiernie wiele straciła) — czemże oni są?... Czemś mniej jeszcze niż aktorzy, ich bracia rodzeni. I aktor wprawdzie najczęściej bywa tylko małpą naśladującą giesty, miny i intonacye, pod potężną suggestyą autorskich pomysłów czyniącą zewnętrzne tylko wrażenie człowieka, przywdziewającą maskę zaledwie szlachetności, rozumu, dowcipu, w głębi której kryje się prawie zawsze plugawy i głupi bohater knajp i domów publicznych, krzykliwy i pozujący wesołek, wywleczony z rynsztoków życia na światło kinkietów przez małpio-papuzi dar imitacyi.

Ale aktor czasami przynajmniej potrzebuje mieć rozum i miewa go nawet. Znakomity aktor n. p. bez wielkiej inteligencyi rzadko się obejdzie — podczas gdy najznakomitszy śpiewak obchodzi się bez niej zawsze. Aktor może być przenikliwym psychologiem, aktor może być poetą, może wlewać w słabą sztukę lub złą rolę tchnienie geniuszu, jeźli go posiada; śpiewak jest zawsze tylko uczonym ptakiem, podwładnem ślepo narzędziem muzyka, żywym instrumentem muzycznym, śpiewającym według prawideł wpojonych, wykutych, grającym szablonowo, i znikającym z powierzchni ziemi, przestającym się liczyć, gdy umilknie, jak skrzypce schowane w pudle lub zamknięty fortepian. Nie ma też kłamliwszych i bardziej znikomych karyer niżeli śpiewackie; — po każdym artyście zostaje coś, bodaj jego szkoła, po śpiewaku nic oprócz odrobiny krzyku, kupy długów i afiszy.

Myśli podobne nie zjawiały się nigdy w głowie Rosołowskiego, tenora bohaterskiego opery w jednem z drugorzędnych miast Rosyi, małego, czupurnego, tłuściutkiego człowieka, jasnowłosego jak albinosi, który tego roku tak samo jak lat poprzednich przyjechał na wakacye do Zaściankowic, swego rodzinnego miasteczka.

Były to peryodyczne odwidziny u krewnych, przyjaciół, zarazem objaw patryotyzmu tenora i podwaliny sławy w ojczyźnie. Podczas tych wizyt, któremi Rosołowski leczył się z gwałtownej nostalgii, pchającej serce jego ku śmierdzącym uliczkom mieściny i słynnej na całą prowincyę kołtuneryi, jaka tę dziurę zaludniała, rodzina tenora aranżowała dlań szereg owacyj, jako dla dziecka, okrywającego blaskiem ród swój, swoje gniazdo, swój naród. Brat starszy tenora, podtatusiały agent miejscowy „Towarzystwa ubezpieczeń od ognia“ tracił rok rocznie parę funtów wagi na usługach śpiewaka, dla którego wynajdywał tuzinami okazye popisów, inspirując następnie miejscowy tygodniczek „*Trzymajmy się!*“... do hymnów pochwalnych na cześć artysty. Pragnął on w ten sposób naprawić

ków socyalista Baudot, robotnik w hucie szkła. Dyrektor tejże fabryki Rességuier wydalił go wkrótce potem z roboty pod pozorem, że Baudot bez pozwolenia wyszedł z huty. Hutnicy stanęli w obronie swych praw politycznych i odpowiedzieli na wydalenie Baudota strejkiem. Tow. Jaurés, poseł do parlamentu, przybył na odgłos tych wypadków do Carmaux i poradził hutnikom ze względu na niedawno ukończony strejk tamtejszych górników, który wiele ofiar kosztował, zaprzestać strejku, na co się też hutnicy zgodzili. Ale teraz dyrektor Rességuier w arogancki sposób oświadczył, że przywódców strejku napowrót do roboty nie przyjmie. Oburzeni tem nędznem postępowaniem spasionego sługi kapitalistów hutnicy ujęli się za swymi towarzyszami i rozpoczęli strejk na nowo, żądając przyjęcia do roboty wszystkich dawniejszych robotników, a także i Baudota. Posłowie Jaurés, Millerand i Gérault-Richard przybyli z ramienia zarządu partyjnego do Carmaux i rozpoczęli agitacyą za strejkiem, którego doniosłość jest ogromna, gdyż został on podjęty w obronie praw obywatelskich. Strejkuje 1200 robotników, których rodziny wynoszą 2500 głów. Na miejsce strejkujących sprowadzono całe wagony obcych robotników, jak bydło robocze. Pomimo ogromnego rozgoryczenia przebieg strejku był zupełnie spokojny.

Gdy w tem rozchodzi się pogłoska rozpuszczona przez Rességuiera, a podchwycona i kolportowana skwapliwie przez dzienniki burżuazyjne, że jakiś robotnik-socyalista strzelił z rewolweru do Rességuiera. Mniemany sprawca został aresztowany i okazało się, że jest to roznosiciel gazet Guilhem, anarchista; rewolweru ani rany nie zdołało śledztwo wykryć. Mimo to pisma burżuazyjne robiły wielki hałas z powodu „męczeństwa“ Rességuiera, aby zwrócić opinią publiczną przeciw robotnikom. Stowarzyszenie fabrykantów w Carmaux posunęło się do tego stopnia, że urządziło dla uczczenia Rességuiera bankiet, na którym przewodniczący wzniósł toast na cześć Rességuiera jako dzielnego „obrońcy wolności pracy“!

Ale skutki tego „męczeństwa“ nie były już wcale tak komiczne, jak sam fakt. Mianowicie pod wpływem sfałszowanej opinii publicznej widziały się władze zmuszone stanąć po stronie fabrykantów, co też uczyniły z całą brutalnością. Policya, prokuratorya, sądy i wojsko rozpoczęły ręka w rękę prześladować strejkujących. I tak n. p. zabrała policya całą kasę strejkową pod pozorem, że to były pieniądze z Niemiec, co za zdradę kraju gadzinowe pisma uważają; w rzeczywistości złożyły się na ten fundusz składki robotnicze, które raźno popłynęły z całej Francyi, i tylko około 100 franków pochodziło z Niemiec od jakiegoś staruszka profesora uniwersytetu.

Te szykany ze strony władz oburzyły robotników w całym kraju. 50 socyalistycznych posłów do parlamentu zebrało się i 21 socyalistycznych radców miasta Paryża i uchwalili jednozgodnie wydać manifest piętnujący brutalność władz i protestujący przeciwko ich postępowaniu.

Płomienne słowa manifestu, obiegając w tysiącach egzemplarzy Francyą, wszędzie wywołały ogromny entuzyazm i mamy nadzieję, że proletaryat francuski nie da upaść temu wyłącznie politycznemu strejkowi.

Przez trzy posiedzenia parlamentu zajmowała sprawa hutników w Carmaux posłów. Najznakomitszy mowca parlamentarny tow. Jaurés interpelował ministerstwo o zachowanie się brutalne władz i postawił wniosek, aby prezydent izby Brisson był sędzią rozjemczym między robotnikami a fabrykantem. Ale Rességuier sądu nie przyjął!

Po zażartej debacie parlament burżuazyjnej republiki francuskiej wyraził rządowi zaufanie 280 głosami przeciw 183. Zwycięstwo takie jest jednak na przyszłość gorszem, niż uczciwa przegrana. Albowiem sprawa hutników w Carmaux rozgłośnem echem odbiła się w umysłach robotników całego świata tak, że nawet robotnicy angielscy, którzy zazwyczaj zdala się trzymają od ruchów politycznych, postanowili popierać strejk w Carmaux.

„Chrześcijański socyalista“

o socyalnych demokratach*)

Ks. Stojałowski, wychodząc w tych dniach z więzienia, postanowił się oczyścić z ciężkiego zarzutu, jakoby się zgadzał „na zasady socyalnych demokratów co do religii, własności, rodziny i państwa“. Nie uszło bowiem niczyjej uwagi, że podczas kampanii wyborczej udawali się chłopi z całem zaufaniem o pomoc do socyalnej partyi, a wybitniejsi włościanie z powiatów zachodnich, zaznaczyli publicznie, że pragną walczyć ramię w ramię z socyalistami o swe wyzwolenie. Ruch chłopski w Galicyi nie jest bowiem organizacyą posiadających klas, lecz jest żywiołowym i nieświadomym ruchem sproletaryzowanych mas włościańskich, które raz zerwawszy się do walki z wyzyskującą je wielką własnością, muszą siłą bezwładności iść dalej i coraz dalej. Żadna reforma burżuazyjna nie potrafi powstrzymać procesu wywłaszczenia chłopów, a $1\frac{1}{2}$ miliona drobnorolnych włościan i chałupników staczających się z dnia na dzień w szeregi proletaryatu, stanowią rewolucyjną gwardyę stronnictwa ludowo-chłopskiego.

Prawdą jest, że te masy porwane prądem stosunków społecznych na burzliwe morze polityki, błądzą jeszcze w labiryncie sprzecznych zagadnień, prawdą jest, że one jeszcze z gwiazd czytają kierunek swej drogi, a idą na lep każdego złudnego hasła, — ale wątpić nie można, że ostatecznie muszą te masy przejść w dziedzinę konsekwentnej walki klasowej i stanąć ze socyalną demokracyą pod sztandarem tego samego na świat poglądu. Być może, że tacy Lewakowscy i za przeproszeniem Stapińscy i Winkowscy nad tą poważną kwestyą nigdy się nie zastanawiali, ale ks. Stojałowski, ten jedyny utalentowany człowiek między ludowcami, musiał od czasu do czasu sięgnąć myślą po za horyzont codziennych interesów i szarpany bezsennością w swej więziennej celi zadać sobie pytanie: Do czego zdąża ruch ruch ludowy — czy potrafimy wykopać przepaść między partyą ludową, a socyalną demokracyą?

Zresztą ks. Stojałowski czytał Marksa i Lassalla, zrozumiał krytykę kapitału i zna te dźwignie ekonomiczne, które dzielą społeczeństwo na garstkę uprzywilejowanych i olbrzymie masy wydziedziczonych.

Tylko uspołecznienie maszyn i ziemi zdoła dźwignąć zwichnięty ustrój społeczny znów do równowagi. Dla chłopów galicyjskich nie ma też innego wyjścia, bo choćbyśmy obronili im ich „własność osobistą, uczciwą i sumienną pracą nabytą“, to milion chałupników na swych jednomorgowych posiadłościach, musiałby i tak umrzeć z głodu.

Ale ks. Stojałowski, choć w głębi duszy najzupełniej tę prawdę uznaje, nie ma na tyle energii, ażeby już raz porzucić jałowe zatargi o słowa i usuwając na bok takie scholastyczne kwestye, jak te, czy on jest przeciwnikiem episkopów, czy episkopatów, czy on jest wrogiem socyalizmu, czy socyalnych demokratów, czy jest błogosławionym w rzeczywistości, czy też przez pomyłkę przez papieża itd., itd. i stanąć na gruncie wyłącznej walki społeczno-ekonomicznej.

Ks. Stojałowski musi dobrze wiedzieć, że choćby u nóg wił się stańczykom i wyrzekał się wszelkiej wspólności ze socyalistami, to szlachta polska nie wybaczy nigdy temu, co jej niewolnikom podał żagwie walki klasowej do ręki — nie pomoże księdzu skrucha ani żal, bo burżuazya kościelna sucho mówi przez usta Agliardi'ego: idź do klasztoru... Kurya papieska kokietuje wprawdzie z partyą chrześcijańsko-socyalno-antysemicką we Wiedniu, gdyż w skład tego stronnictwa wchodzą $\frac{2}{3}$ kamieniczników i zamożnych rzemieślników, z natury ciążących ku konserwatyzmowi, ale autorzy encyklik zastanowią się nad tem dobrze, czy emancypacya $1\frac{1}{2}$ miliona sproletaryzowanych chłopów galicyjskich nawet w duchu wyłącznie kościelnym, nie przyspieszyłaby klasowego uświadomienia i zrewolucyonizowania mas.

Ks. Stojałowski zupełnie trzeźwo patrzy na sytuacyą, ale wkorzeniony nałóg do prowadzenia dwulicowej polityki, płata figle jego, nie wątpimy, najlepszym chęciom. Inaczej bowiem zrozumiećbyśmy nie mogli, skąd zdobył się inteligentny człowiek na tak błahą i trywialną krytykę „socyalnych demokratów“.

Ks. Stojałowski oburza się na nas, że socyalna demokracya zostawia religię „na boku“, to znaczy, że uważa ją za sprawę należącą do zakresu sumienia, a nie polityki — czyżby ks. Stojałowski był innego zdania? Wszak on to rzucił się na biskupów i księży z hasłem na ustach: precz z profanowaniem religii, jako narzędzia szlacheckiego panowania! precz z wyzyskiwaczami, choćby naznaczonymi krzyżem! W tym samym artykule sam zarzut tem osłabia, mówiąc z wielkiem uznaniem o uchwale zjazdu nowosądeckiego, „aby nie dać się unieść do walki przeciw religii

*) Umieszczamy ten artykuł nadesłany przez jednego z obrońców ks. Stojałowskiego, dla scharakteryzowania wrażenia, jakie wywarł nawet na najżyczliwszych ks. St. ludziach.

---

to, że niegdyś, gdy przyszła gwiazda uciekł z domu rodziców za trupą wędrowną, porwawszy córkę jednego z mieszczan a wkrótce potem poczał rodzinę zasypywać błagalnemi listami o zasiłek, ponieważ trupa uległa rozbiciu — miał wyrzec: „Niech zdycha łajdak z głodu razem ze swoją dzierlatką, kiedy wolał zostać komedyantem, niżeli porządnym człowiekiem“ — i sprzeciwił się energicznie wspieraniu lekkoducha. Matka obu dzielnych braci nazwała pierworodnego „rzymskim charakterem“ za te słowa i siłę, jakiej były wyrazem — uciekinier określił to prościej „świńskiem postępowaniem“.

Dziś oczywiście, kiedy tenor zarabiał po tysiąc rubli na kwartał, sumę imponującą najbogatszemu z zaścienkowickiej plutokracyi, rzymski charakter agenta ubezpieczeń zmiękł. Dano sobie buzi po bratersku na znak zgody, uznano krewną dzierlatkę, poślubioną już dawno przez tenora, który za pieniądze, jakiemi wyposażyli ją rodzice, poduczył się śpiewać, i naciągając Tończia na małe prezenciki i pożyczki, ze wszystkich sił pomagano mu spełniać zadanie chluby rodu.

Spełniał je szczytnie. Już sama ilość kufrów, z jaką zajeżdżał co roku do najpierwszorzędniejszego hotelu w mieście, stawiała go wysoko w opinii spółczesnych, cóż dopiero garnitury, jakie następnie produkował na koszlawym bruku ulic dostarczających najwięcej widzów i ekstrawaganckie toalety żony, na widok których konie stawały dęba, tudzież wielki wybór bizuteryj, do których mieli obaj słabość spanoszonych głupców, blaskiem złota i kamieni, kupionym u jubilera, starających się zakryć swą nicość.

Oprócz brata śpiewaka i matki, która w odstępach między dwoma numerami „*Trzymajmy się*“ sama podejmowała funkcye przybocznego organu tenora i obiegała wszystkie kumoszki w mieście, wykrzykując na cały głos, z jednego trotoaru na drugi, zachwyty nad aryą lub piosnką, wykonaną przez Tończia z olbrzymim sukcesem u państwa aptekarzów na kawie, u pana poborcy na herbacie, u burmistrzostwa po objedzie i w kościele na sumie, — wrastał w sławę i poważanie także szwagier tenora, brat żony, dwudziestopięcioletni Mietuś Wantuch, pękaty dryblas z czerwoną, pucołowatą, śmiejącą się gębą i krótką, jak szczotka do butów, czarną czupryną, do niedawna po puszczeniu schedki, utrzymujący się z pokątnej fabrykacyi papierosów, obecnie zaś, dzięki wpływowi możnego rodu Rosołowskich, pisujący w sądzie.

Mietuś, przez błąd siostry wyniesiony do zaszczytu szwagrostwa z gienialnym artystą, był nieodstępnym towarzyszem znakomitej pary i za każdem jej przybyciem do Zaściankowic brał w tym celu urlop. Stanowił on ich dwór. Uczestniczył w spacerach, w podróżach, znosił echa z miasta, chodził po wędliny do masarza i listy na pocztę, zapalał o zmierzchu lampę, słuchał z otwartemi podziwem usty opowiadań o tryumfach scenicznych Tończia i nadskakując mu z całym pietyzmem, grał rolę miecha jego śpiewackiej nadętości, rolę podręcznego kontemplatora, który strzeże wielkich ludzi od upadania na duchu, zastępując im w miniaturze, niezawsze przecież obecną i klaszczącą publiczność. Za to obdarowywany był corocznie jednym z garniturów tenora, który zużycie pozbawiło już pierwszej świetności, oraz jakąś fotografią Tończia w zbroi lub gronostajowym płaszczu starającego się oblec w mądrość twarz, pod lokami peruki i naklejoną brodą z krepy.

Tenor przywoził co roku na pokaz dla rodziny podarki, jakie sobie w ostatnim sezonie wyśpiewał na obczyźnie, szarfy od wieńców, recenzye, bilety wizytowe poznanych znakomitości i listy. Prócz tego objawy uznania z dalekich stron znajdywały dom drogą aż tu, do Zaściankowic. W połowie ostatnich feryj przyniesiono mu rano do numeru przesyłkę z głębi Rosyi starannie opieczętowaną. W pierwszej chwili chciano rozpakowanie jej zostawić Mietkowi, który był spodziewany lada chwilę, ale kobiecie ciekawość nie pozwoliła czekać. Zamieniwszy kołdrę na szlafrok, rozcięła sznurki opakowania, podważyła wieko skrzynki i znalazła w jej wnętrzu, wypełnionem zżynkami papieru, fajansową wazkę z marynatą z jakiejś ryby nieznanej, przysłaną z kilku słodkiemi wyrazami hołdu jako przysmak szczególny przez jedną z wielbicielek śpiewaka.

Rosołowski był smakoszem, żona też. — Ślinka napełniła im usta na sam widok apetycznego mięsiwa, roztaczającego woń smakowitą.

— Będzie zdaje się coś doskonałego — szepnęła, powąchawszy. (Dok. nastąpi.)

i kościołowi, na którą chcą wciągnąć socyalistów i stronnictwo ludowe biskupi i księża".

Ks. Stojałowski oświadcza, że jest przeciwnikiem „zniesienia albo przemienienia własności prywatnej na własność społeczną, gminną czy państwową (!)", ale lęka się otwarcie wypowiedzieć, że gospodarka współczesna z niepohamowaną siłą znosi własność prywatną miliona ludzi, a nie oglądając się na wolę jednostek, wywraca do góry nogami wszystkie podwaliny społeczności ludzkiej. Jeżeli jednak stary ustrój ma runąć, to posłannictwem klasy robotniczej jest stworzyć podwaliny nowego społeczeństwa.

Bez uspołecznienia środków produkcyi, nie można zapewnić nikomu własności osobistej; wie o tem ks. Stojałowski, a nawet kardynał Rampolla. Encykliki nie mogą być orężem przeciw nam, bo ks. Stojałowski sam doznał na swym grzbiecie, jak biskupi galicyjscy zaczerpnęli z nich argumenty do potępienia działalności „chrześcijańskiego socyalisty". Celem encyklik, jest kokietowanie z proletaryatem bez narażenia się kapitalistom, nawet ks. Badeni nie waha się dobywać ich do walki z socyalistami.

Kto w dyskusyi naukowej powołuje się na encyklikę, ten poprostu cofa się z pola walki.

Tak jak w kwestyi własności apeluje ks. Stojałowski do przesądów dobrowłościańskich, tak w sprawie rodziny uspakaja kołtunów śmiesznym frazesem: Również rodzinny związek uważamy za święty i przyrodzony, a nie za samo dowolne skojarzenie pary! To ks. Stojałowski pije widocznie do „wolnej miłości", ale przyznać mu trzeba, zręcznie, choć nie po rycersku.

Wreszcie zarzut księdza, jakobyśmy byli zwolennikami „wszechmocności państwa", jest tak naiwnie złośliwym, że poprostu trudno tu wierzyć w dobrą wiarę autora artykułu.

Zaiste, my nie dopiero z encykliki się dowiedzieli, że państwo jest dla człowieka, a nie człowiek dla państwa; zaiste, niechaj chłopom powie zdrowy rozsądek, czy partya żądająca zniesienia wojsk stałych, oraz usunięcia wszelkich krzywd politycznych ludu, pragnie wzrostu państwa z ujmą „wolności dobra i swobody i obywateli". Państwo istnieje tylko dopóty, dopóki rozgrywa się walka klas, ale z chwilą uspołecznienia produkcyi, państwo przeobraża się na społeczność gospodarczą.

Tak rozprawiwszy się ze socyalnymi demokratami, zapewnia ks. S., że chrześcijańscy socyaliści chcą usunąć „powszechną nędzę, żebractwo, umieranie z głodu, emigracyą wygłodzonych".

Czy ks. Stojałowski sądzi, że sprawę naprzód posunie, jeśli będzie nakładał sobie polityczną rezerwę na usta? Może to być dobrem dla polskich demokratów, lub dla ludowców od „Przyjaciela ludu", ale trybun ludu poniża się jeno, wyprawiając ku gaudyum kołtunów klownowskie sztuczki na linie.

Ks. Stojałowski miał sposobność obserwować żelazną konsekwencyą socyalnej demokracyi, popierającej sprawę chłopską, bez względu na sympatyę do jednostek, my obserwujemy dramat duszy tego człowieka, postawionego na rozstajnej drodze między miłością dla ludu, a tradycyami swej hierarchicznej działalności. Czy zwycięży dobry duch?

Janin.

Ze stowarzyszeń i zgromadzeń.

Kraków. „Związek naukowy" odbył w niedzielę 27 października o godz 3 po południu walne zgromadzenie. Ustępującemu zarządowi udzielono absolutoryum. Uchwalono nie łączyć się ze stowarzyszeniem młodzieży „Zjednoczenie". P. Zygmunt Marek został wybrany przewodn., dr Suesser zastępcą przewodn., Bałanda sekretarzem, dr Gertler bibliotekarzem. Lokal „Związku" znajduje się przy ul. Krupniczej l. 8, I. piętro.

Nowy Sącz. Dnia 27 bm. w niedzielę odbyło się tutaj poufne zgromadzenie robotnicze, na którem referował tow. Daszyński „o znaczeniu stowarzyszeń zawodowych". Mowca wskazał, jak w dziewiętnastym wieku wzmogła się niesłychanie organizacya państwa klasowego, jak pod skrzydłami tego państwa wyrósł bezwzględny brutalny kapitalizm, rozporządzający dzisiaj wszystkiemi potęgami produkcyjnemi. Wobec tych dwóch potęg zaczyna wyrastać zwolna, lecz również z nieubłaganą koniecznością trzecia: zorganizowany proletaryat. Organizacya jego musi się opierać o to, co stanowi treść życia proletaryatu, tj. o pracę i jej warunki. Ztąd organizacya proletaryatu musi stawać się w pierwszym rzędzie zawodową. Ponieważ kapitalizm zniósł różnice narodowości, religii i rasy, połączył kraje i narody, przeto w ślad za tą międzynarodowością kapitału, idą międzynarodowe sojusze organizacyj robotniczych. Zawody łączą się już dzisiaj i pokrywają jednolitą siecią stowarzyszeń całą Europę. Znikają uprzedzenia kastowe lub narodowościowe, a proletaryat powoli organizuje przyszłość społeczeństw, które nie będą się opierały na przemocy lub przewadze kapitału, lecz na wspólnej świadomej celu pracy ludzkiej.

Nakreśliwszy ideał organizacyj zawodowych, mowca omówił następnie stosunki wśród robotników kolejowych i zakończył wezwaniem do popierania stowarzyszeń zawodowych.

W dyskusyi podniesiono myśl zbudowania własnego domu robotniczego i zastanawiano się obszernie nad sposobami urzeczywistnienia tej pięknej myśli. Trudności wprawdzie okazały się znaczne, ale zapał i gotowość do czynu wśród sądeckich towarzyszy pozwala żywić nadzieję, że wkrótce już może znajdą się pierwsi w kraju w swej własnej chacie!

Tarnów. (Kasa chorych). Stosunki w tutejszej kasie chorych są niżej krytyki. Pan Styła, były nauczyciel, urzędnik tutejszej kasy chorych, żyjący z ciężko zapracowanych groszy robotników, postępuje sobie z robotnikami, jak nieograniczony basza turecki. Robotników traktuje ostatniemi słowy; nazywa ich: chłystkami, mówi do nich przez „ty" — gdy który zgubi książkę, a zachoruje, to pomimo że przynosi poświadczenie od pracodawcy, że płaci do kasy, — kartki do lekarza nie chce mu wydać.

Lekarz tej kasy chorych p. dr. Kowalski obchodzi się z robotnikami jeszcze gorzej. Wzywany do chorego, łży go, czasem nie zbadawszy go wcale, wychodzi i powiada, że robotnik zdrów, że nie chce mu się pracować. I tak, wołany niedawno temu do towarzysza Maurycego K., ledwo mu się przypatrzywszy zdaleka i nie przeprowadziwszy żadnej dyagnozy, opuścił chorego, grożąc mu nadomiar karą 2 złr. Pomimo, że już 3 lata płaci do kasy chorych, musiał K. sam wezwać innego lekarza, opłacić go i lekarstwa za własne pieniądze kupić.

Tow. Jan T. spiekł sobie oko przy robocie. Dr. Kowalski wstrzyknął mu kilka kropel jakiegoś płynu i kazał mu przyjść na drugi dzień; nazajutrz jednak powiedział, że mu nic nie jest i kazał mu iść do roboty. Tymczasowo tow. T., nie widząc wcale na to oko i czując ból wielki, nie poszedł do pracy, lecz zażądał stanowczo dokładniejszego zbadania oka. Teraz dopiero przejrzał sumiennie badający chorego dr. Kowalski, i zdjął mu z oka „zendrę." Gdy po czterech dniach choroby prosił go robotnik o okulary ogniowe i o zapłatę należącej mu się kwoty za cztery dni, okularów nie zapisał i należytości przyznać nie chciał. Dopiero pod presyą towarzyszy zmiękł i kazał mu dać wynagrodzenie, ale okularów nie dał.

Lwów. (Rozwiązane zgromadzenie). Dnia 21 bm. w poniedziałek, odbyło się w sali „Gwiazdy", nadzwyczaj liczne zgromadzenie ludowe, na którem referował w sprawie reformy wyborczej tow. Kozakiewicz. Rezolucyą referenta przyjęto z zapałem, poczem zabrał głos tow. Schiffler. Jednakowoż zdenerwowany widocznie komisarz policyjny Wenc, nie pozwolił mu dokończyć i wśród protestów zgromadzonych rozwiązał zgromadzenie. Konwój wojska, policyi i tajnych agentów z komisarzami, odprowadzał liczną rzeszę robotniczą aż do śródmieścia. Robotnicy śpiewali potężnym chórem „Czerwony sztandar". Na drugi dzień stała się rzecz niesłychana: pismo karmione z ręki półurzędowców, „Dziennik polski" uległ konfiskacie za sprawozdanie o tem zgromadzeniu! Chyba za obrazę przywódzców socyalistycznych.

Dnia 28 bm. w poniedziałek odbyło się tutaj znów zgromadzenie ludowe, na którem robotnicy zażądali od rządu przedłożenia reformy wyborczej bez zwłoki. Myśl strejku masowego znowu zaczyna się wyłaniać z całą elementarną siłą.

Wiedeń. Dnia 13 bm. odbyło się nadzwyczajne walne zgromadzenie stow. robotniczego „Siła" w Wiedniu, na którem obrano następujący nowy zarząd: Przew. tow. Dominik Kokorian, zast. przew. Henryk Szweicer, sekr. Ludwik Terakowski, bibliotekarz Michał Foglewicz, gospodarz. Leon Eisen. Nadto wybrani do zarządu: tow. Bolesław Łukaszkiewicz, Józef Matiasik, Józef Żadki, Adam Łukasiewicz, a na zastępców: tow. Adolf Herman, Jarosław Kowarzik. Do komisyi kontrolującej wybrani: tow. Szymon Langer, Józef Maciaszkiewicz, Ludwik Romanowski.

Trzyniec. Dnia 20 października odbyło się u nas pierwsze publiczne zgromadzenie ludowe w Dolnej Lesznej, w lokalu p. Windholza. Na porządku dziennym było: „O powszechnem prawie wyborczem". Przed bardzo licznie zgromadzonymi wygłosił towarz. Sojka piękną mowę, przerywaną często hucznemi oklaskami. Jednocześnie też przyjęto rezolucyą tej treści, że zgromadzeni stanowczo się oświadczają za powszechnem, równem i bezpośredniem prawem wyborczem i postanawiają niezmordowanie pracować nad jego zdobyciem. Po zgromadzeniu rozeszli się uczestnicy, śpiewając „Czerwony sztandar" i pieśń o prawie wyborczem.

Z warsztatów i fabryk.

Z karwińskiego zagłębia węglowego.

Z Poremby, szybu Zofii donoszą nam: Jeżeli się czasem zdarzy, że górnik jaki, pracujący nie na akord, lecz na szychty, zrobi w oznaczonym czasie mniej, aniżeli jak sobie sztygar, lub inny z przełożonych wymarzy, że zrobić powinien, wówczas wymazują mu $1/_2$, lub nawet i całą szychtę. „Mazanie" takie jest właściwie zakazanem od dawna ze strony urzędu górniczego, bo ono zmusza robotnika do nadmiernego wytężania swych sił i zaniedbywania wszelkiej ostrożności przy pracy. Nie miałoby ono też z pewnością miejsca, gdyby górnicy sami pilnowali tego. Zdarza się n. p., że w dziennej partyi pracuje jakiś młody, silny i nie doświadczony hawirz w tem samem miejscu, w którem w nocy pracował starszy. Otóż ten młody, który istotnie potrafi zrazu — z pominięciem wszelkiego rozsądku i ostrożności — więcej zrobić, donosi częstokroć sztygarowi lub inżynierowi, iż tamten nic nie zrobił, i żąda wymazania szychty tamtemu, a przepisania jej sobie, bo on za obu robi. Naturalnie, że ci naganiacze radzi korzystają ze sposobności, staremu wymażą, ale donosicielowi nie dopiszą.

Jednym z tych, którzy najbardziej lubią mazać szychty górnikom, jest nadinżynier Mładek, który nadto potem, jeśli kto przyjdzie do niego z prośbą o zaliczkę, wyrzuca go za drzwi, zapominając, że ze strony rozmaitych kompetentnych władz nieraz już zostało wyrażonem życzenie, aby wypłata odbywała się co 14 dni (teraz jest co miesiąc), albo by przynajmniej stanowczo dawano zaliczki pieniężne. Ten sam człowiek już przed 6-tą rano codzień pędzi ludzi do pracy — sam zaś potem drzemie przed i po obiedzie. Jeszcze jedna ciekawa okoliczność. Na „Zofijskiem gwarectwie" stanowią starszyznę nadinżynier Mładek, starszy sztygar Szajer Karol, i sztygar Prusza Wojciech. Jest ich tedy trzech, zdawałoby się więc, że zawsze przynajmniej jeden z nich zechce wraz z górnikami robić nocną szychtę. Tymczasem dzieje się wprost przeciwnie, w dzień jest ich wszędzie pełno, tak iż nie mając nic lepszego do roboty, przesłuchują denuncyantów i sekują socyalistów; nocą zato, kiedy z natury rzeczy wypadałoby rozwinąć większą baczność i troskliwość o całość kopalni, pozostawia się życie 150 lub więcej ludzi na opiece przypadku bez żadnego dozoru. Jeżeli się coś stanie, to trzeba dopiero biegać po nich do domu i z łóżka ich wyciągać, — ale wina za jakieś ewentualne nieszczęście spada potem zawsze — całkiem naturalnie — na robotników.

Zdaje się, że te same nieporządki muszą istnieć i na innych gwarectwach. Z szybu „Alorechta", własności arcyks. Fryderyka, opowiadano mi np., że ludzie wieczorem zamiast o 10 godzinie, dopiero o 11—12, lub nawet $1/_2 1$ godz. z dziennej szychty wyjeżdżają. Praca na gwarectwach, będących własnością spadkobierców ś. p. arc. Albrechta, trwa wszędzie tylko 8 godzin, lecz jest akordową i tem się tłómaczy, że hawirze przez nikogo nie pilnowani, samowolnie przeciągają czas pracy o 2 i $2^1/_2$ godziny. Naturalnie robią to tylko nierozumni i nie uświadomieni. Praca taka, prócz przedwczesnego wyczerpania i pogardy współtowarzyszy, nie przynosi im zazwyczaj nic, bo istnieje tu znowu system obcinania akordów, który nie dozwala nigdy zarobić więcej po nad pewne maximum miesięcznie.

Orłowa. Istnieje tu od niespełna 10 lat parowa fabryka cegieł i dachówek. W fabryce tej, będącej własnością barona Mateclon, pracuje kilkudziesięciu robotników najrozmaitszej kategoryi. Prócz dwóch jednakowoż, albo trzech, których płace są stosunkowo dość dobre, ogół robotników cierpi nędzę i niedostatek, które potęgują jeszcze te okoliczności, że po pierwsze fabryka ta jest jedynem i ostatniem schroniskiem dla wydalonych górników, którzy wskutek tego tracą najczęściej wszelką ochotę do energicznego opierania się wyzyskowi, po drugie pewna część robotników fabrycznych posiada własne domy i grunt i nie dba zbytnio o zarobek we fabryce, a ostatecznie, że praca trwa właściwie tylko przez dwie trzecie części roku, w zimie zatem przez cztery miesiące znaczna część robotników traci zupełnie swą pracę. Płaca jest tu tylko akordowa, otóż dawniej jeszcze przy dwunastogodzinnym dniu roboczym (spoczynki już są w to zaliczone) można było wyżyć, ale dziś stało się to niemożliwem, wobec ciągłego obniżania tych akordów. I tak n. p. za metr kub. przy t. zw. odkrywaniu piasku płacono po 35 ct. Dziś zaś znacznie mniej. Przy ostatniej wypłacie zapłacono robotnikom n. p. za

107¼ metr. kub., na wykonanie której to roboty spotrzebowano 25¾ dni roboczych, tylko 26 złr. Wypada to więc za metr kub. po 24 ct., a po 1 złr. 7 ct. za szychtę. Są tu dwie maszyny do robienia cegły: stara (powolniej pracująca) i nowa (szybsza), które jednakowoż obydwie robią cegły jednakowej objętości i dobroci. Przy pierwszej z nich płacą robotnikom donoszącym glinę po 14 ct. od tysiąca cegieł, przy drugiej tylko po 10 ct. od tysiąca. Przykład ten najlepiej nam wskazuje, że akord, czyli płaeenie od sztuki to najgorszy bat na robotnika, ale i najlepszy sposób wyzyskiwania go. Podobnie, jak w krakowskich cegielniach rozmaitych Szmelkesów i Emilewiczów istnieje i tu system odtrącania na „zepsucie“ — o tyle tylko niesłuszniejszy, że odtrącają donoszącym glinę, którzy nie mają żadnego wpływu na „udanie się“ lub „zepsucie“ cegły, a nadto, że odtrącają zawsze całą tą ilość, która z końcem dnia nie stanowi pełnej tysiączki; w ten sposób odtrącają czasem w jednym dniu po 900 i więcej cegieł. Dowożącym surową cegłę do pieca płacą po 70 ct. a odwożącym cegłę wypaloną z pieca po 55 ct. od tysiąca cegieł. Tu rownież istnieją rozmaite „abzugi“ — wskutek czego nie rzadko się zdarzy, że robotnik za 10 lub 12 dni pracy dostanie zaledwo 6 złr. Przy kopaniu gliny („szachtowaniu“) płacą po 20 ct za metr kub., tak że dziennie można zarobić najwyżej 1 złr. Nadto traktowanie robotnika jest tu brutalnie dzikiem czasami ze strony majstra niemca, który nakłada na tych nędzarzy kary po 1 złr. i więcej, lub też za byle co wydala ich z pracy. Ma on szczególnie pasyą do palaczy, których co chwilę zmienia, przez co naturalnie wyrządza nawet znaczne szkody przedsiębiorstwu samemu, bo nowy palacz nim się oswoi z grymasami pieca, zawsze dość narobi „...kocurów“, zamiast dobrej cegły.

KRONIKA.

W sprawie ks. Andrzeja Bańskiego o obrazę czci z §. 492 i 496 uk. popełnionej przeciwko Piotrowi Wąsikowi zamieściliśmy w nrze 31 „Naprzodu“ wyrok c. k. Sądu powiatowego w Liszkach, uwalniający ks. Andrzeja Bańskiego od winy i kary. Wskutek odwołania wniesionego od tego wyroku przez Piotra Wąsika do c. k. Sądu krajowego w Krakowie, odbyła się przed trybunałem tegoż sądu dnia 30 października 1895 r. rozprawa apelacyjna. Oskarżyciela prywatnego zastępował dr. Suesser, oskarżonego bronił dr. Kwieciński, adwokat. Po wywodach prawnych zastępców obu stron, trybunał apelacyjny zmienił wyrok sądu liszeckiego i uznał ks. Andrzeja Bańskiego winnym przekroczenia §. 496 u. k. popełnionego przez to, że Piotra Wąsika w swojej kancelaryi wobec więcej osób zelżył słowy: „łotrze, oszuście“ i zasądził ks. Bańskiego na 3 dni aresztu, względnie 15 złr. grzywny. Od oskarżenia o obrazę czci przez słowa: „Idźcie sobie dać dziecko u żydów miśkować“ wyrzeczone w kościele przez ks. Bańskiego, został tenże uwolniony z powodu, iż oskarżyciel dopiero na rozprawie pierwszej zażądał jego ukarania za obrazę czci temi słowami popełnioną, a wówczas minął już był termin przepisany ustawą do wniesienia skargi.

Losy tarnopolskiej młodzieży. W zimie toczył się przed przysięgłymi w Tarnopolu jeden z głośniejszych procesów o zdradę stanu, obrazę majestatu, tajne stowarzyszenie itp. zbrodnie, przeciw kilkunastu młodzieńcom, uczniom szkół średnich i nauczycielom ludowym. Większa część oskarżonych przesiedziała oczywiście długie miesiące w więzieniu śledczem, poczem po długiej rozprawie uwolniono ich jednogłośnie i wyrok sądowy oddawna stał się prawomocnym. Ale gdyby kto sądził, że w konstytucyjnym kraju wyrok sądowy jest ostatniem słowem, najwyższą powagą, toby się srodze pomylił. Teraz bowiem dopiero zaczęły ciężkie ciosy spadać na młodzież uniewinnioną. Nauczycieli wyrzucono ze szkół, a ponieważ nie łatwo dostać nowych za nędzną pensyjkę, więc szkoły pozamykano! Uczniów zaś wykluczono ze wszystkich szkół Austryi następującem rozporządzeniem:

„L. 421. JE. minister wyznań i oświecenia reskryptem z dnia 17 czerwca 1895 do l. 1108 wykluczył ze wszystkich publicznych zakładów naukowych i wychowawczych po za zakres szkół ludowych (?) wychodzących, tudzież ze wszystkich zakładów tej samej kategoryi, posiadających prawa szkół publicznych: Józefa Szeląga, Ad. Pfütznera, Kaz. Kahanego, Winc. Chabina, Tomasza Krzyworączkę, Kazimierza Bieniedzkiego i Zygm. Zakrzewskiego“.

Młodzież ta była już bliską ukończenia swoich studyów. Żadna szkoła, nawet szkoła weterynarska we Lwowie nie chce ich przyjąć, a dyrektor tej ostatniej, poradził młodzieży „udać się w świat!“ Czyż nie jest to wpędzanie w rozpacz mnóstwa młodzieńców, którzy mieli to nieszczęście, że ich sąd uwolnił...! Komu z tego pożytek jaki?

Księdzu Zygulińskiemu na jego sprostowanie odpowiadamy faktami: Jan Trucha robotnik i Trocki prywatny, słyszeli jak ks. Zyguliński wzywał ludzi do ekscesów i do wzięcia ze sobą drągów i kamieni. Dalsi świadkowie: St. Mendoń i Grzegorz Miczka widzieli księdza w teatrze i mogą potwierdzić, że „Naprzód“ napisał prawdę. Jeżeli tych nazwisk było za mało ks. Zygul., wówczas możemy służyć dalszemi nazwiskami! Jak wygląda „miłość chrześcijańska“ Zygulińskich, o tem niech świadczy fakt, że oni to rozdzielili klasę robotniczą i uzbroili robotników przeciw swym braciom. Czy księdza Zygulińskiego kto poturbował, o to nam nie chodzi i wolelibyśmy nawet, aby go pozostawiono w spokoju. Jeżeli wreszcie ksiądz Zyguliński nie nazywa się Zygułą, to tem lepiej dla niego, ale robotnicy tarnowscy tak go nazywają, więc i w Naprzodzie tak go mianowano.

Sprostowanie ks. Zygul. jest wogóle wymijaniem faktów i używaniem §. 19 ust. prasowej, której nie chcemy przekraczać. Ale opinii swej u robotników tem sprostowaniem ks. Zygul. sobie nie poprawi.

Tarnów. W naszem nowem stowarzyszeniu odbył się w niedzielę odczyt tow. Gonki na temat: „Rozwój społeczeństwa od najdawniejszych czasów do dni dzisiejszych“. Na zakończenie wysłuchali zgromadzeni deklamacyi wygłoszonej przez tow. Probsteina. Na przyszłą niedzielę zapowiedziany również odczyt popularny.

Głos ze wsi. Otrzymujemy ze wsi następujący list, który bez zmiany umieszczamy:

„Gdyby kto z Was kochani Towarzysze przeszedł przez nasze wioski i przysłuchał się, co lud mówi z wyjątkiem tych kilku pańskich lizunów, toby przyszedł do przekonania, że wszystek lud należy do „Przyjaciela ludu“ i do ks. Stojałowskiego; że żadna przemoc tego ogniwa nie rozdzieli. My robotnicy wiejscy mamy jednak powien żal do „Przyjaciela ludu“, a to z tego pdwodu, że o ile „Przyjaciel ludu“ dba o gospodarzy, to o robotnikach wiejskich ani słówkiem nie wspomni, a ks. Stojałowski bardzo mało. Widzimy, że „Przyjaciel“ wszędzie chce mieć chłopa i w radzie państwa, sejmie, radzie powiatowej, szkolnej, a tymczasem robotnicy wiejscy są najnieszczęśliwszymi, gorzej traktowanymi niż bydło. Biedna komornica musi dzieci zostawiać bez opieki, zamknąć je w chałupie, a kiedy chałupy nie ma, zostawiać u gospodyni, a sama na dzień cały iść w pole. Jeżeli gospodyni dobra, to jeszcze; jak nie, to biedne dziecię płacze całemi dniami. Kiedy taka biedna komornica ma zostać matką i pracować nie może, urągają jej i jej dziecięciu bez żadnej litości...

„Szanowni Towarzysze! jeżeli Wy nas bronić bronić nie będziecie, to choćby „Przyjaciel ludu“ wywalczył zmianę ustawy drogowej, kościelnej, łowieckiej i t. d., to wszystko to dla nas nie ma znaczenia, a reforma wyborcza, która się na chałupniku skończy, także dla nas nie wiele warta. Zwracam się do Was robotnicy wiejscy, abyście się łączyli z naszymi towarzyszami z miasta, bo oni nam radę podadzą, jak mamy walczyć o poprawę naszego losu. Obrońcy nasi poświęcili dla naszej sprawy zdolności swoje, zdrowie i życie, a my powinniśmy bodaj groszem poprzeć wspólną sprawę. Bogaci nas nie poprą, ale i dzisiejszy gospodarz jest już tak biednym, że jego wnuki nawet chałupy już mieć nie będą. Więc i on powinien się do nas przyłączyć. Nieraz nie tylko robotnik, ale i gospodarz przy kośbie włoży za centa cukru do wody i to z kawałkiem chleba stanowi jego pożywienie. Więc bracia robotnicy z powiatu pilzneńskiego, a i z innych, zbierajcie środki choćby skromne na poparcie naszej sprawy i porozumiewajcie się z Waszymi mężami zaufania. Wy z pilzneńskiego macie tam swego obrońcę Antoniego Kittę, a z rudeckiego Karola Fila; do nich się zwracajcie“.

Urzędowe sprostowanie raczył nam nadesłać z Przemyśla p. radca sądu Spławski. Z umieszczonego w Nrze 41 tego sprostowania zdawałoby się, że rzeczywiście podaliśmy daty nieprawdziwe o losach dozorców więziennych. Dziś oświadczamy stanowczo, że notatka nasza o tych nieszczęsnych najmitach była prawdziwą. Przyznajemy się jednak, że podaliśmy błędnie wysokość pensyi dozorców: zamiast 31 pisaliśmy o 33 złr.! A skoro już mówimy o losie dozorców, to niechby pan Spławski potrudził się kiedy na korytarze więzienia przemyskiego... W oknach szyby powybijane, a w kurytarzach przeciągi szalone, odbierające dozorcom zdrowie. §. 19-tym ust. prasowej można grozić pismu, ale losu biednych sług rządowych tem się nie polepszy.

25 złr. kary policyjnej otrzymał tow. Kleinberger za to, że wrzekomo zbierał wkładki na zgromadzenie wyborczem. Nie zgromadzeniu był znany ajent policyjny Noga i został wkrótce po otwarciu zgromadzenia wyproszony za drzwi. Otóż Noga doniósł o tem, jakoby tow. Kleinberger zbierał składki, a komisarz Banach zasądził Kl. na 25 złr. kary. Wracają się znowu czasy z ubiegłej jesieni...?

Wstydliwość prowincyonalna. - Księgarz w N. Sączu p. Pisch, postawił sobie po pożarze dwupiętrową kamieniczkę, a ponieważ chciał ją mieć ozdobną, więc balkon pierwszego piętra podparł ładnemi karyatydami, męską i żeńską. Postacie ludzkie, dźwigające jakiś ciężar, muszą naturalnie uwydatnić grę mięśni, tak, że nie podobna ich przedstawiać w kamizelce!... Wszędzie też na świecie karyatydy są nagie. Tak samo jest i z karyatydami pana Pischa. Tymczasem ks. kanonik Góralik, zażywny jegomość, nie może spokojnie patrzeć na obnażone piękne formy rzeźby i rozpoczyna gwałtowną agitacyę w mieście, aby karyatydy koniecznie w cóś odziać! W każdem większem mieście, takich rzeźb jest bez liku, tylko wstydliwość ks. proboszcza w N. Sączu zżyma się na coś podobnego.

Rozprawa karna przeciw tow. Daszyńskiema została dzisiaj przerwaną i odroczoną, ponieważ jedyny świadek obciążający, komisarz policyi Stieber ciężko chory bawi w Zakopanem i przesłuchanym być nie mógł.

Sprawozdanie kasowe za III. kwartał
od 1 lipca do 30 września 1895. r.

Fundusz prasowy. Dochód: Prenumerata za III. kwartał 179 złr. 23 ct. Dary 112 złr. 50 ct. Inseraty 10 złr. Sprzedaż pojedyncza i prenumerata stowarzyszeń 738 złr. 89 ct. Razem 1039 złr. 62 ct. Rozchód: Deficyt z II kwartału 84 złr. 87 ct. Druk trzynastu numerów od 27 do 39, 645 złr. 23 ct. Pensye redaktorów 225 złr. Lokal 36 złr. Koszta administracyi, ekspedycya, telegramy, portorya, fejletony i t. d. 120 złr. 16 ct. Razem 1.111 złr. 26 ct. — Dochód 1.039 złr. 62 ct. Rozchód 1.111 złr. 26 ct. Deficyt na IV. kwartał 71 złr. 64 ct.

Fundusz agitacyjny. Dochód: Pozostałość z III. kwartału 45 złr. 42 ct. Dary 148 złr. 96 ct. Razem 194 złr. 38 ct. Rozchód: Podróże, zgromadzenia, druki, zabawy 144 złr. 48 ct. Dochód 194 złr. 38 ct. Rozchód 144 złr 48 ct. Pozostałość na IV. kwartał 49 złr. 90 ct.

Fundusz dla prześladowanych. Dochód: Pozostałość z III. kwartału 8 złr. 45 ct. Dary 47 złr. 23 ct. Razem 55 złr. 68 ct. Rozchód: Zapomogi 49 złr. 86 ct. Razem 49 złr. 86 ct Dochód 55 złr. 68 ct. Rozchód 49 złr. 86 ct. Pozostałość ua IV. kwartał 5 złr. 82 ct.

Zestawienie ogólne dochodów i rozchodów.

Dochód:

Fundusz prasowy 1.039 złr. 62 ct. Fundusz agitacyjny 194 złr. 38 ct. Fundusz dla prześladowanych 55 złr. 68 ct. Razem 1.289 złr. 68 ct.

Rozchód:

Fundusz prasowy 1·111 złr. 26 ct. Fundusz agitacyjny 144 złr. 48 ct. Fundusz dla prześladowanych 49 złr. 86 ct. Razem 1.305 złr. 60 ct.

Dochód ogólny 1.289 złr. 68 ct.
Rozchód ogólny 1.305 złr. 60 ct.
Deficyt . . . . 15 złr. 92 ct.

Józef Kleinberger kasyer.

Komisya kontrolująca:

Jakób Hanuszkiewicz. *Antoni Urbanetz.*

Ostrzeżenie!

Wszystkie organizacye i Towarzyszy ostrzegamy przed Salomonem Helsingerem, który nie pojmuje różnicy między „mojem“ a „twojem“. Szczególnym znakiem tego panicza, jest wzrok w nienormalnym stanie (zezuje).

Za stow. polskich robotników „Siła“ w Wiedniu:
L. Terakowski, sekretarz. *D. Kokorian,* prezes.

Druk W. Korneckiego w Krakowie. Odpowiedzialny redaktor i wydawca: Jan Ochmański.